

uznałem, że jest mną o wiele bardziej niż moje zmieniające się ciało. Być może jest moją duszą wsuniętą mi przez Boga, nie nazbyt delikatnie, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem mojego życia.

Mówienie jest nawykiem rąk

Spotkałem raz garncarza dotkniętego perseweracją: powtarzał miękkie, bezkształtne dźwięki, w kółko i w kółko, aż do znudzenia. Rozmowa, wirując, wracała do punktu wyjścia (i trzeba było bardzo uważać, żeby nie dostać mdłości), lecz za każdym kolejnym obrotem garncarz wyciskał z dźwięków nadmiar materii, odkładał ją na bok, a resztę wyokrąglał, gładził, cieńczył, aż stała się słowami niewidzialnymi dla oka.

Na pożegnanie wytarł ręce i wręczył mi kolisty poemat, całkiem zgrabny, lecz brzmiący cokolwiek głucho, jak gliniany dzban.

Wsluchiwałem się także w gadulstwo kucharek: jak, nie mrugnawszy nawet powieką, zrywają nożem powłokę z przedmiotu rozmowy i, śmiejąc się, tną jego nagi, krwawiący miąższ na kawałki, by potem, w wielkim garze, pod przykryciem, długo ustalać zawiesisty konsensus.

Motorniczowie zaś ślizgają się po zdaniach nieznośnie wizgliwą frazą, to przyspieszając zawadiacko, to zwalniając (choć zawsze jednym ustalonym torem), a potem nagle milkną, jakby coś sobie przypomnieli, i z syczącym westchnieniem otwierają usta dla nabrania powietrza.

Znałem cyrkowca, co mówił precyzyjnie i pewnie, jakby rzucał nożami. Lekko odchyłał się, mrużył oczy i rzucał słowa twarde i ostre jak noże — nie znał litości! Umierałem ze strachu, że kiedyś powie coś do mnie, ale po latach odkryłem z ulgą, że choć tak pewnie, to jednak zawsze trafiał gdzieś obok i precyzyjnie nie trafiał w sedno.

Pamiętam szklarza — ten słowa dmuchał jak bombki na choinkę. Znał dobrze wytrzymałość słów, więc dmuchał je tak, żeby nie pękały (kiedy mówił). Na koniec migotliwe kule ozdobił ręcznie, gestem przyjaznym, choć odrobinkę pustym, i wręczał wszystkim słuchającym, lecz kiedy w domu próbowaliśmy ozdobić nimi nasze skromne drzewko — pękały cicho, uwalniając pustkę.

Miałem też znajomego spawacza, co ogniem talentu łączył wszystko ze wszystkim w uciążliwe metafory. Na moich oczach stopił rękę żony z egzotycznym kwiatem (nieodwracalnie, jak się okazało), potem zakolem rzeki podkuł miasto jak podkowę, a mój stary, czarny płaszcz (prawda, że z dziurami) przytwierdził do nocnego nieba i tam go już zostawił, a ja nie miałem w czym wrócić do domu, choć trzymał mróz. Strach było go odwiedzać! Kiedyś się upił i krzyczał, że chce od nowa połączyć duszę z ciałem, bo to, co wyszło Wielkiemu Spawaczowi, to jest do prawdy kiepski spaw.

Rozmawiałem również z przygodną prządką — zobaczyłem, jak zgrabnie ze splątanych myśli skręca palcami równe, mocne zdanie. Mówiła bez przerwy, splatając jedno słowo z drugim, aż zrozumiałem, że będzie tak ciągnąć bez końca — a przynajmniej dopóty, dopóki wszystkich myśli z głowy nie wyprzedzie! Wpadłem w panikę, jednak

prządką, szczęśliwie dla mnie trafiwszy palcami na idee zbyt cienką — nagle urwała.

Czytałem gdzieś o Świętym Jurandzie, rybaku, który kazania swoje dźgał w sieć gęstą, żeby w nią zgarnąć duszyczki grzeszne, co na dno opadły — i żeby się żadna słowom jego nie wysmyknęła! W oktawę Wielkiego Piątku cudem duszę starego Dziurdziały ułowił, która, jak tłusty sum, od lat w mule dennym się tarzała, i już-już na światło zbawienia miał ją wyciągnąć, gdy wtem wrzeczono śmierci, serce Juranda przeszywszy, niec żywota jego na drugą stronę przewlokło. Ale Jurand wcale tego nie zauważył i dalej dźgał, jak gdyby nigdy nic — a po śmierci jeszcze piękniej niż za życia!

Po tygodniu zebrała się rada parafialna, by orzec: jeśli umarł Jurand, to czemu gada? A skoro gada, to czy godzi się go pochować przed końcem kazania? „Kto mówi, bez wątpienia żywy jest! Lub za żywego uchodzi!” — stwierdził wikary. I jeszcze dodał, że głos mówiący to jest właśnie ta cząstka w człowieku na obraz i podobieństwo Boskie dana! Doktor jednak się upierał, że po ciele trzeba sądzić, a kiedy ciało nieżywe, to pochować. Tak się kłócili, aż ze Świętego garstka gadającego pyłu została, więc ją wsadzili do pudełka, postavili w zakrystii, jak kto ma chęć, to sobie słucha. Mówią teraz na niego: Święte Radyjo.

Nie mógłbym tutaj nie wspomnieć o mojej babce Kapicioli. Życia w niej było na łokieć, lecz to jej wystarczyło, by swoje życie od początku przewinać, od nowa spleść i wygładzić. „ON mnie odcina od nici, więc zwijam, jak tkacz, moje życie” — rzekła niczym król Ezechiasz, a potem zebrała nas wszystkich wokół siebie i dawała palcami

szypląć, drobić, wiązać, skręcać... A każdą chwilę trzy razy w rękę obróciła, nim przeminęła — żeby niczego nie uronić! Już nam się nieraz zdawało, że watek gubi, że cienko przedzie, lecz cóż to? Ona znów przedziwo w rękę mocno trzyma i... węzeł małżeński sposobi! Tak od dziadów pradziadów każdego z nas wplotła, gdzie jego miejsce, dobra babka Kapicziola. Na koniec guzem wszystko spięła i uspokojona — umarła.

Ja sam kilimek sobie barwny tkam przed zaśnięciem z tego, co mi za dnia w rękę wpadnie — tępy ból nogi, jakaś melodia, co nie chce się odkleić od ust, myśl bez znaczenia (ale zawsze przecież to myśl!) — wszystko to gęsto splatam, mocno, porządnie, żeby mi się po snach nie rozlało i nie straszło po nocach.

Taki właśnie kobierczyk utkałem sobie pewnego wieczora, już-już miałem po nim miękko przejść na senną stronę, kiedy straszne pytanie zagrodziło mi drogę: „Jeśli mówienie jest nawykiem rąk, to jak mówią ci, którzy... mówią? Którzy słowami się bawią, język mają za jedyne narzędzie, a ręce ich są różowe i miękkie, i żadną pracą nieutrudzone? Poeci, pisarze, mówcy i politycy — jakiego nawyku rąk można się u nich dopatrzeć, skoro...”.

Zdenerwowany zerwałem się z łóżka i, zarzuciwszy tylko płaszcz na piżamę, wyszedłem w ciemną noc zasięgnąć rady. Umówiłem się ze znajomym w zabytkowym szalecie obok Ogrodu Japońskiego. (Właściciel szaletu dał mi kiedyś klucz i pozwolił korzystać z tego niezwykłego miejsca po godzinach pracy. Umawiam się tam, najczęściej nocą, z przyjaciółmi, i siedząc w przegródkach, rozmawiamy do rana, nie patrząc sobie w oczy).

Usiedliśmy na klapach od sedesów, plecy oparliśmy na dolnopłukach. Znajomy trzy razy zapukał w drewnianą przegródkę — znak, że chce coś powiedzieć.

— Rola ręki w życiu — zaczął trochę oficjalnie — trudna jest do przecenienia! Nawet dla tych, co tylko mówią! Im też natchnienie z ręki spływa, bo miejsc najczulszych dotykając w sobie, to drażniąc je boleśnie, to łagodnie pieszcząc — z ręki wiodą rozkosz mówienia!

— I wszyscy tak? — spytałem zaniepokojony.

— Wszyscy! Bez wątpienia! No... może z wyjątkiem poety Vorgenasa.

— Tego wieszczą? — upewniłem się.

— Mhm! Jemu podobno sama... Ręka Boska!

Wyczułem zazdrość w jego głosie.